Tom XIII. **Nr. 3.**

21. lipca **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

✝

Dnia 11. Lipca zmarł w Krakowie po krótkiej słabości

Walery Wielogłowski

wąsz wielki przyjaciel i dobrodziej, który pracował dla waszej nauki i oświaty. Ciężką stratę ponieśliście przez śmierć jego, kochani bracia! Miłował on was sercem całem i pragnął zawsze waszego dobra i pożytku. Napisał on dla was za życia mnóstwo bardzo pięknych książeczek, w których oświecał wasz rozum i kształcił wasze serce. Nieraz podawaliśmy w *Dzwonku* wyjątki z tych pism jego i nie dawno czytaliście jeszcze opisanie „Jak u nas być powinno?“, które wydrukowaliśmy z ostatniej książeczki ś. p. Walerego „*Podróż po szerokim świecie.*“ Książeczka ta była ostatnią jego pracą dla was — ale oprócz niej wydał on dawniejszymi czasy dużo ślicznych historyj dla waszej nauki, jako to: „*Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego*“ „*Podróż do Rzymu i Paryża odbyta przez Felixa Borunia*“ „*Pożary, obrazek z zycia ludu wiejskiego*“ „*Święty Izydor Oracz*“ „*Zabawy świąteczne*“ „*Groszówka dla dzieci*“ „*Jarmark w Dąbrowy*“ i inne. A wszystko to napisane było z taką serdeczną miłością dla was i z taką mądrą uwagą na wasze potrzeby, że serce się kraje, gdy pomyśleć, żeście stracili takiego dobrodzieja!... Kochał go też jak ojca ludek wiejski, a włościanie z pod Krakowa garnęli się gromadnie do księgarni, którą

nieboszczyk Wielogłowski miał w Krakowie, aby zakupywać jego piękne książeczki. Kiedy w kraju naszym obierano posłów do sejmu, zebrali się wieśniacy z Rybny i z innych wsi, i przyszli sami do Krakowa i prosili nieboszczyka aby był ich posłem. Ś. p. Wielogłowski radził też na sejmie o polepszeniu waszej doli i przemawiał z szczerego serca za waszym pożytkiem. Toż kiedy go Bóg nagle powołał ze świata, włościanie krakowscy z wielkim żalem opłakiwali swego dobrodzieja i opiekuna, a na pogrzebie, na który Kraków jak żyje wysypał się cały, nieśli sami tylko wieśniacy jego trumnę aż do grobu!... Wielki to był wasz przyjaciel i na wielki też żal śmierć jego zasługuje. Miejcie go zawsze w pamięci i czyńcie tak, jako on was nauczał w swych książkach, a będzie to najlepsza wdzięczność za jego miłość i dobrodziejstwa dla was!

Cześć jego pamięci!

Dom sierocy w Łące.

Gromada Łąka leży sobie koło Łańcuta i Rzeszowa na równinie jak na stole wielkim. Dawno, dawno były tu za królów polskich łąki wielkie, bajury i moczary, bo Wisłok płynął sobie środkiem samym przez te równiny i zalewał wodą niskie brzegi — były na tych równinach pastwiska dla koni królewskich, co pasły się na to, aby potem poszły na wojnę tatarską albo na obronę jakich chudaków, jak się udali o pomoc do króla polskiego. A król miał w samym Rzeszowie swój pałac i tam przyjeżdżał nie raz na sprawy przeróżne, albo jak mu trza było jechać prostą drogą z Krakowa do Lwowa albo jeszcze dalej po za Lwów do swoich krajów. Ale te łąki dał król polski Kazimierz Wielki na grunta i na plac pod chałupy przeróżnym ludziom, pozwolił im postawić wieś, porobić fosy, groble i wały, dał im potem pana i ta nowa wieś została nazwaną Łąki na wieczne czasy i tak się też i dziś nazywa. Chłopi polscy wysuszyli te błota, Wisłok sam z woli bożej odsunął się dalej i tak dziś stoi ta gromada cała sucha i obrobiona po gospodarsku.

Dawno, dawno była tu parafia aż do Rzeszowa, a że było to za ciężko dla gazdów polskich chodzić tak daleko do kościoła, toż jeden pobożny pan polski wyfundował w Łące na polu czystem kościół murowany i osadził tam zakonników, a

teraz jest tu parafialny kościół. Otóż byłemci ja tam teraz w tej Łące z ciekawości wielkiej, aby na własne oczy zobaczyć taki dom ni to szpital dla sierót i drobnych dziatek. Byłem tam jednego dnia rano na mszy św. w kaplicy, gdzie były tam i te sieroty, ich xiądz staruszek, co ich uczy katechizmu i poznania Boga i znowu te pobożne panny ni to zakonnice, co się starają o okrycie, pożywienie i naukę dla tych sierót. Ale aż mi się radośno i miło zrobiło wedle serca, a dusza moja uradowała się z takiej dobrej i pobożnej roboty! Jakci nie zaczęły te bobaki biedne wyspiewywać na mszy św. cieniutkim, prześlicznym głosikiem pieśni pobożne, to mi aż łzy w oczach stanęły i westchnąłem za to do Boga i myślę sobie:

— Co to mogą pobożni ludzie zrobić na świecie, jak jeno chcą szczerze! Jak to może jeden piśmienny i rozumny nauczyć dziesięcioro tyle drugiego i trzeciego, jeżli ma Boga w sercu i chce zbawić swoją duszę i duszę drugiego! Co to za łaska boska taka, że tyle sierót ma tam pożywienie, okrycie, naukę i dobry przykład! A potem po mszy św. prosiłem ze łzami Pana Jezusa i Najświętszej Panny w ołtarzu, aby też takie szpitale były i w innych gromadach, aby gromady razem z dworami i xiężami robiły składki pobożne i tak pomału fundowały takie domy dla sierót gromadzkich, aby lepiej obracali gazdowie polscy grosz boży na chwałę bożą, niż na durniczki i pijatykę.

Potem poszedłem z temi sierotami do izby, gdzie to one siedzą, patrzę! a tu stoją małe łóżeczka koło ścian pięknie posłane, derkami nakryte, poduszeczki z sieczki, a na ścianie obrazy święte, gdzie odmawiają na kolanach paciorki, a te panny pobożne uczą ich — potem poszedłem do tej izby, gdzie one jedzą, patrzę, a tu każda sierotka ma blaszany garneczek i łyżkę i miseczkę i zajada sobie ciepłą strawę na śniadanie, a te panny pobożne posługują im jak matki — na takie rzeczy aż mi serce rosło z radości, głaskałem po główkach ręką te drobnostki biedne, błogosławiłem Boga za takie łaski i miłosierdzie a potem pytałem:

— A kto to fundował ten szpital dla sierót?

A starsza panna mi gada:

— To fundowała pobożna pani z dworu w Łańcucie, której umarł mąż i nie miała żadnych dziatek, a znowu majątku, jaki jej dał Bóg, nie zmarnowała na jeden grajcar jeno ze łzami i sercem złożyła wielkie sumy na ten szpital i oto patrzaj jegomość! mamy tu już pięćdziesiąt takich sierót, one tu żyją i my tu z niemi dzień i noc i da Bóg! że będzie jeszcze i więcej, jak jeno ta pobożna Pani do nas przyjedzie.

Pomyślałem sobie:

— Co to można narobić dobrego za życia, jak jeno w kim dusza pobożna i miłosierne serce! Aby wyżywić i okryć pięćdziesiąt sierót, to trza pewnikiem na to dużo pieniędzy. Ale myślę sobie tak w mej biednej głowie: gdyby każdy z numeru w gromadzie składał kilka grajcarów do skarbonki na sieroty gromadzkie i co rok, toby urosły przez dziesięć lat wielkie sumy, xiądz i dwór razem z gromadą mogliby o tem zawiadować, mógłby być jeden budynek na wsi na szkołę i dla takich sierót, a wtedy nie zmarnowałoby się żadne dziecko polskiego katolika ani by nie umarło z głodu pod cudzym płotem i na cudzym progu — a nie raz wyszłaby taka sierota na ludzi, jak to Bóg dobry już nie raz zrobił.

I pytałem dalej tej starszej panny:

— Czegoż się uczą te sieroty w tym szpitalu?

Ona na to:

— Uczą się czytać, pisać po polsku, bo jużci polskich ojców dzieci i w polskim kraju powinno się najpierw uczyć po polsku i byłoby to wielkim wstydem dla gazdów polskich, gdyby oni sami nie stali o to; uczą się rachować aby ich lada żyd lub cygan jaki nie okpiewał potem, uczą się katechizmu, aby umiały Boga chwalić i ludziom dobrze życzyć i dobrze czynić, uczą się spiewać pobożne pieśni, aby sobie w domu po robocie i w domu bożym w niedzielę potrafiły zaspiewać pieśni na chwałę bożą — potem uczą się szyć przeróżne łachy tak na święto jak na dni powszednie, aby też potem miały co wziąć na siebie i pokazać się ludziom przyzwoicie aby sobie potem mogły i szyciem zarobić na życie uczciwe, aby umiały uszyć koszule krakowskie, koszule jakie noszą kmiecie i go-

spodynie polskie po zwyczaju ojców i dziadków, potem uczą się chleb dobrze upiec, kaszę robić, dobrze jeść ugotować, koło bydła chodzić i wszystko przy gospodarstwie tak porobić jak się patrzy i jak każda gospodyni polska umieć ma, w końcu uczą się wszystkiego dobrego, aby mogły stanąć na służbę do dworu, do xiędza albo do miasta i tam mieć sposób do życia na dalsze lata.

Ja słuchałem tego opowiadania z wielką ochotą, bo to oczywista rzecz, że jak się dziecko takich rzeczy wyuczy za młodu, to mu przy pomocy bożej bieda nie dokuczy nigdy i ono sobie da radę na świecie bożym. Ale zapytałem potem:

— A jak długo pozostanie taka sierota w tym szpitalu na nauce?

A starsza panna powiada:

— Może być tu od maleńkości i do dwudziestu lat — a jakby się takiej sierocie trafiło pójść za mąż, to dostanie od tej pobożnej pani wiano takie, jakie dostają dziewki od bogatych ojców i to mało kiedy. I widziałem tam kilkoro sierót tak małych, że jeszcze gadać nie umieją, a panny pobożne chowają to i pielęgnują tak, jak matka rodzona swoje dzieci, widziałem tam i takie dorosłe, że są tam już po kilka lat i chowają się na chwałę bożą i na dobry pożytek dla ludzi. A nawet widziałem takie dorosłe i wyuczone dziewczęta, że mogą dziś pójść w świat boży daleki i szeroki i nie zginęłyby nigdzie między ludźmi.

A widząc to podziękowałem myślą Bogu, że natchnął swoją łaską tę pobożną panię i dopomógł jej uczynić takie miłosierdzie dla tylu sierót, potem dziękowałem Bogu, że dał tym sierotkom takie pobożne panny, co są nauczycielkami i matkami dla nich i dumałem sobie:

— O gdyby to Bóg natchnął tak samo jakiego bogatego pana albo xiędza albo jakiego bogatego wieśniaka, aby umierając zapisał swoją pracę na fundacyę takiego szpitalu dla sierót w swojej wsi, a gdyby się takich wieśniaków znalazło dużo w naszym polskim kraju, o Boże mój! coby to było dobrego po wsiach! ile dusz nie marnowałoby się, a ile dusz poszłoby do nieba, ile pobożnych przybyłoby w naszym polskim kraju!

Zamiast obrzydłych arend po wsiach i to nieraz blisko kościoła, stałyby szpitale dla dziadków i sierotek, a ta praca krwawa, co ją zabierają żydzi i bogacą się z krwi kmieci polskich, poszłaby na gromadzkich dziadków, na wsiowe sierotki, na szpitale i na chwałę bożą. A jakie ztąd błogosławieństwo Boże dla wsi i dla całej polskiej krainy, toby się z tego radowali Anieli święci na wysokiem niebie. Oby to Bóg dał, a byłoby najlepiej!

I tak dumając wsiadłem na mój prosty wóz, obejrzałem się kilka razy ze łzą w oczach na ten szpital sierót, a com sam widział, to wam z serca całego opisuję moi kochani! abyście i wy to znali, co się gdzie dobrego dzieje w naszym polskim kraju, abyście i wy podziękowali Bogu za taką dobrą i pobożną polską panię z Łańcuta i abyście razem ze mną prosili pokornie Boga, by nam dał takie dusze po dworach, po miastach i po wsiach i aby tak znowu nastało u nas, jak było za naszych dziadków i pradziadków.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Chłop i djabeł.

Ucieszna bajeczka.

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
Zaczął i dumać i marzyć:
„Ot! wiesz co, chłopie!“ tak do niego powie,
„Pójdźmy razem piwo warzyć.“

„Pójdźmy,“ rzekł Szymczak, i już kocieł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi:
Warzy i warzy, miesza, spuszcza, leje —
I ot, cały war już w kadzi.

„Dzielmy się teraz,“ — djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia —
„Dzielmy się,“ — rzecze, i wierzch bierze piwa.
A djabłu drożdże zostawia.

„Złe coś,“ czart woła, „zmieńmy więc umowę,
„Posiej mi ziarno na grzędzie,

„Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
„A co z wierzchu mojem będzie."

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście;
Wschodzi, rośnie, plon wzbujały;
Przyszło do działu — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

„Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę,
„Widzę, że jesteś mądrzejszy,
„Lecz jeszcze jedno; — rzucajmy w górę,
„A ujrzym, kto z nas mocniejszy."

I porwał, wstrząsnął, i takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił u ziemi.

„Tęgiś, chłop rzeknie zbladły i zdyszany,
„Myślałem, że już nie wrócę;
„Lecz teraz, kumie, pójdźno w moje szpony,
„Niech i ja ciebie podrzucę."

I w pas go bierze, i za róg pochwyca,
I tak w dwojgu rąk go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca,
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
A wreście, gdy się znudzi, zniecierpliwi,
„Czego tam ślepisz?" zawoła.

„Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
„Nie chcę cię rzucić daremnie;
„Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże
„Co cię odbierze odemnie."

"Co? ryknie djabeł, czyś głupi, szalony?" —
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urżnął drapaka.

Polska po swym upadku.

III. Dalsze wojny i losy Polaków.

Zaledwie w nowem xięstwie warszawskiem Polacy zaczęli się krzątać, aby się urządzić i ugospodarować — a już musieli chwycić znowu za broń, aby i tego małego skrawka ziemi bronić przed napadem nieprzyjaciół. Wybrali się bowiem przeciw nim Austryacy, a stanąwszy na granicy Xięstwa Warszawskiego, posłali do Polaków pisanie, aby się z nimi łączyli, bo jak sami widzą, że Napoleon nic już dla ich Ojczyzny nie zrobi. Polacy jednak na całą odpowiedź co prędzej garnęli się do broni, i o milę za Warszawą pod Raszynem w dniu 19. kwietnia 1809 roku tak się walecznie bili, że położyli trupem dwa tysiące Austryaków. O tej bitwie pod Raszynem pisaliśmy wam już nie dawno temu w Dzwonku.

Przypatrywała się temu zwycięztwu cała Warszawa z dachów, wież i okopów za miastem, i widzieli, jak wojska pod xięciem Poniatowskim i jenerałem Dąbrowskim cudów dokazywały. Ale że Austryaków było cztery razy tyle co Polaków, więc niepodobieństwo zgnieść ich było od razu, toż uradzono zabronić im przystępu do Warszawy i tam uzbroiwszy co prędzej lud, nieprzyjaciela czekać, który w te tropy walił się za nimi Myśleli Austryacy, że tę garstkę Polaków w pierwszej bitwie na maść zgniotą, ale po batalii pod Raszynem zaczęli się namyślać. Nie uderzają wprost na Warszawę, ale posyłają do Polaków, żeby z niej dobrowolnie wyszli, bo jak nie wyjdą, to będą miasto palić. „Niech palą!" wołało wojsko i lud i wszystko, co mogło, i stanęło do broni.

Na to jenerałowie zbierają się na radę i tak postanawiają: pocóż się mamy upierać koniecznie przy Warszawie, czy to jeno w samej Warszawie Polska? Zostawić Austryaka w Warszawie, a zato w całym kraju powstać i iść do innych polskich krajów zabranych i tam powoływać do broni. Jak uradzili, tak i zrobili, wojsko polskie przeszło na Pragę i most zerwało, a Austryacy spokojnie rozłożyli się w Warszawie.

Xiążę Poniatowski ruszył ku Galicyi — bo tak nazwali Austryacy kraj polski, który zajęli — a jenerał Dąbrowski do Poznania i na całą Wielkopolskę obwołał powstanie. W parę dni zebrał Dąbrowski kilka tysięcy wojska i od Częstochowy przez Łowicz, Płock, aż do Bydgoszczy, gdzie jeno Niemcy się pokazali, bił się, jak Bóg przykazał. Armat nie miał Dąbrowski wiele, bo jeno te, co w tej wojnie zdobył, aż tu pod Płockiem przychodzi Niemcom ochota przeprawić się do Polaków na drugą stronę Wisły. Dąbrowski nie wiele ze sobą miał wojska, a nieprzyjaciół chmara. Więc cóż tu robić? Ścinają prędko wierzby, przyrzynają jak trzeba, wsadzają na półwózki i ustawiają na górce naprzeciw Niemcom. Zobaczywszy to Niemcy uciekają od Wisły, jak najprędzej mogą, a Polacy z najtęższą miną odciągają, niby to z armatami. Z drugiej strony wódz xiążę Poniatowski pobił Niemców najprzód na Pradze, potem w pochodzie strzepał ich pod Grochowem, a nakoniec stanął pod Górą, pięć mil od Warszawy na granicy Galicyi, gdzie się Austryacy okopali i uporczywie bronili. Ale polskie armaty i bagnety wnet się za okopy przedarły, wojsko polskie słupy graniczne porąbało i weszło do Galicyi.

Muszę wam też powiedzieć, że wtedy u xięcia Józefa Poniatowskiego, byli w wojsku i Żydzi, i wcale się odważnie bili; a jeden, co się zwał Berek, taki był waleczny, i tak kochał Polskę, że został pułkownikiem, a żołnierze, choć był Żydem, przepadali za nim.

Dorozumiecie się, co za ruchawka była w Galicyi na widok polskich żołnierzy! Młodzież cisnęła się też tłumami pod chorągwie polskie, bogatsi znosili pieniądze, ubożsi żywność i ubiór dla wojska, a lud wiejski pokazał, że i on nie ostatni. Opowiem wam tu jedno zdarzenie o Tomaszu Ptaku, chłopie ze wsi Wielebny koło Krakówa, o którym już wam spiewkę napisaliśmy poprzód. Miał on jeszcze z kościuszkowskiej wojny przechowaną armatę, skoro się więc wojsko polskie ukazało, wydobywa ją i prowadzi na tę wojnę. Zobaczywszy armatę, wszyscy się bardzo ucieszyli, bo broń, zawsze miła Polakom. Dziedzic wsi Wielebny podarował zaraz Tomaszowi Ptakowi kawał ziemi i wszystko, co potrzebne do gospodarstwa,

a panowie drudzy widząc, że chłopek prosty i ubogi, zebrali między sobą 300 talarów, aby go niemi wesprzeć. Nie przyjął tych pieniędzy, bo jak mówił: że nie zrobił tego dla zysku, ale z szczerego serca tylko i prosił, aby je obrócili na wydatki wojenne. Uściskali wszyscy ze łzami w oczach poczciwego Tomasza, a odtąd dawali go za przykład jeden drugiemu.

Kiedy Polacy zwyciężają Austryaków, posłannik francuzki, co był przy polskim rządzie, posłał do cara moskiewskiego, żeby przysłał pomoc Polakom przeciw Austryi, bo Polacy biją się za sprawę Napoleona, z którym Moskwa przyjaźń zabrała. Nie było to carowi po myśli, bo dobrze miarkował, co Polacy zamierzają, ale się Francuzom bardzo szczęściło, więc się i bał i choć z wielką ciężkością wyprawił wojsko do Galicyi. Polacy wcale nie radzi temu byli, xiążę Poniatowski ani spytał o Moskali ale bił się dalej i szedł do Lwowa! Moskali wlokło się 40 tysięcy o kilka mil zawsze za Polakami, nie wystrzeliwszy i razu, dokazywali i żywili się polskim chlebem. Dopiero koło Lwowa przyspieszyli kroku, z którego to miasta wyszli Astryacy. Markotnoć było Polakom, zawrócił się więc xiążę Poniatowski ku Krakowu ogłaszając po całym kraju Polskę, a Niemców urzędników i nie urzędników wydalając. Kiedy stanął przed Krakowem, aż tu znowu Moskale wpadają. Ale wtedy Polacy bagnety w ręce, armaty mając nabite, wchodzą do miasta i dalej na Moskali. Broni się trochę Moskwa, ale jak widzi, że Polacy nie ustąpią, nie chcąc już po prostu pokazać, że z innymi trzyma, wychodzi wśród wielkiej radości Krakowian.

Wojska polskiego zamiast ubywać, z każdym dniem przyrastało, tak że z trzynastu tysięcy po trzech miesiącach wojny, był sześćdziesiąt tysięcy.

Napoleon przez ten czas pobił Austryaków i wszedł do Wiednia. Zabrali się też Austryacy z Warszawy i całej Galicyi i poszli sobie, zostawiając bez sprzeczki Polakom cały kraj. Któżby się też spodział, że z tego wszystkiego nic nie będzie — słuchajcie więc, co się dzieje.

Austryacki Cesarz miał młodą i ładną córkę, chciał więc Napoleon żeby mu ją dał za żonę. A bardzo się to ożenienie

Francuzowi spodobało, choć był żonaty, ale że jego żona nie była królową, bo ją pojął kiedy był jeszcze jenerałem, przytem już w podeszłych latach, a nie miała z nim dzieci, więc choć była dobra, uczciwa kobieta, umyślił się z nią rozwieść, a pojąć cesarzównę, co też i bardzo głaskało jego pychę. Powiada więc Cesarzowi, że chce jego córki, a wtedy już między ojcem i zięciem inaczej poszło.

Nie tylko, że o Polsce ani wzmianki, ale nakazał Napoleon oddać nazad większą połowę tego kraju, co Polacy teraz sami zdobyli. Dostają więc Polacy jeno Kraków i cały kraj aż po Zamość, a z Wieliczki nawet, gdzie to sól kopią, oddają połowę Austryi. Nie koniec na tem: urywa Napoleon kawał kraju od Podola, co do tego czasu Austrya trzymała i daje carowi moskiewskiemu za tę śliczną pomoc, co przysłał Polakom, a było na tym kawale, co wzięła Moskwa, czterysta tysięcy mieszkańca.

Ambo-Terno

czyli:

Jak Stach Loternik zmarł śmiercią mizerną.

(Dokończenie).

Nie minęło i dwa lata, a całe mienie Stacha Loternika poszło na cztery wiatry. W kuźni, gdzie to dawniej było huku i ludzi aż głowa bolała, nastała cisza jak w grobie, w stajni i gumnie pustki, w izbie brudno i nędznie, bo sama kobieta Stachowa rady już sobie dać nie mogła. A Stach tymczasem tylko o nowych numerach myślał i do miasta biegał, bo już czem jechać nie było. A jak zobaczy w mieście, że pieniądze marnie poszły i nic nie wygrał, to stawia znowu, aby się odbił swego a na zalanie desperacyi idzie do szynku i duszę gorzałką zapija.

Nie dziw więc, że majątek upadał coraz bardziej, bo Stach rozpił się już naprawdę i co nie przegrał to przepił, a w domu jeszcze dzieci i żonę rozbijał. Kiedy już nic żadne rady sąsiadów nie pomogły, pobiegła żona Stacha z płaczem do xiędza,

aby przemówił do serca jej mężowi. Zawołał xiądz proboszcz do siebie Stacha i począł mu sumienie roztrząsać i napominać, ale to gdyby groch o ścianę.

— Stachu! — mówił xiądz — czyż macie wy sumienie, czyż macie Boga w sercu?.. Żona i dzieci wasze w nędzy, gospodarstwo poszło marnie, a wy jeno loterją nabijacie sobie głowę!

— Ba proszę jegomości — mówi Stach na to — toć ja właśnie na to gram w loterję, aby podratować moje mienie i zostawić żonie i dzieciom majątek.

— Otoście piękny wybrali sposób — mówi xiądz proboszcz — na miłość Boga! pomiarkujcie się jeno. Nim was szatan obałamucił tą loterją, mieliście roboty zawsze po uszy, gospodarstwo i majątek rosły, aż wam cała gromada zazdrościła, a teraz, od kiedy jeno szpekulujecie na ambo-terno, na dziada już schodzicie. Toć was właśnie loterja zgubiła a wy chcecie, aby was loterja podratowała! Cały majątek przegraliście już na loterję, a cóżeście wygrali?

— Ho ho, wygrałem ja nie jedno! — odpowiada Stach, wygrałem już pięć ambów po 20 reńskich

— A ileż to robi? — mówi xiądz — 100 reńskich. A porachujcież to, coście przestawili na loterję! A gdzie oszczędzony grosz, gdzie krowy, gdzie konie, gdzie porządki? Czy to tylko 100 reńskich warta? A wszystko to przegraliście albo przepili, bo was ta loterja w nałóg wprowadziła. A wasza pilność i robota gdzie? Ej Stachu! Stachu! upamiętajcie się zawczasu, bo zginiecie marnie. Jeden to wypadek rzadki na tysiąc tysięcy, aby kto w loterję wygrał, bo cała loterja taka już jest z natury, że nim grejcar wygrasz to dziesięć przegrać musisz!

Tak mówił Stachowi na rozum xiądz proboszcz, ale i to nic nie pomagało. Zrazu obiecywał poprawę a potem pił i grał w loterję po staremu. W końcu już tak się wytracił, że mu jeno pole gołe zostało, a i tego czem obsiać nie było. Tymczasem sprowadził się do wsi inny kowal i przygarnął wszystką robotę do siebie, bo był majster trzeźwy i pilny, a Stach już teraz w ostatniej biedzie, choćby chciał, zarobić nie

miał sposobu. A choć już do takiej nędzy przyszedł, mówił zawsze:

— Już tego nie długo — przecież muszę wygrać raz terno, tak jak ten Antoni w mieście!

I pewnego dnia zebrał ostatnie, co miał, swe narzędzia majsterskie, zastawił u żyda za wódkę i kilka cwancygierów, poszedł do miasta i postawił. I nie wracał już nawet do domu, jeno czekał o głodzie na ciągnienie, żył prawie o żebranym chlebie a sypiał pod gołem niebem pod kamienicami i jeno wódką się codziennie zalewał. A zawsze jeno liczył dnie, kiedy będzie ciągnienie i mruczał pod nosem:

— Ambo - terno! Ambo - terno!

Kiedy już nareszcie doczekał się Stach tego nieszczęsnego ciągnienia, pobiegł pod ów sklep, gdzie stawiał na loterję i popatrzył na numera. Zobaczył, że ani jednego nie trafił... Stał Stach na miejscu i ruszyć się nie mógł z rozpaczy, jeno nogi pod nim drżały a oczy jak w słup wlepiły się w tablicę z numerami, kiedy naraz ktoś go potrząsł za ramie i zawołał:

— Oho! jak się macie panie bracie!

Był to ów Antoni, co to wygrawszy na loterję, jak pan żył sobie i jak to było w zeszłym numerku Stacha do loterji pokusił. Ale mocny mój Boże! co się też z niego stało. Chudy jak szczypa, wynędzniały, w żebrackich łachach, bosy i brudny, jak nędzarz ostatni!

Póki miał wygrane pieniądze, to jak wiecie pracy się ani tknął palcem, bo się jej wyrzekł na zawsze, jeno hulał i panował a na loterję dalej stawiał! I tak przepuścił wszystko co wygrał, a drugi raz wygrać ani rusz było! Zeszedł też na nieszczęsnego dziada i żył w nędzy ostatniej, a teraz właśnie wracał ze szpitalu, i najpierw według starego nałogu powlókł się popatrzyć, jakie numera wyszły. Zobaczywszy tu Stacha także nędznego jak żebraka, zagadał do niego. Ale Stach był w desperacyi okrutnej i nic nie słyszał, jeno mu przez myśl przechodziła nędza żony i dzieci i kara Boża okropna, a w oczach biegały mu czerwone numera jak komary.

Antoni potrząsł więc jeszcze mocniej rękawem Stacha i zawołał głośniej: Hej Stachu jak się masz! Zeszliśmy oba na dziadów he!?

Stach się obrócił i popatrzył na Antoniego. Krew mu uderzyla do głowy, oczy mu zabłysnęły!... Przypomniał sobie, jak Antoni pierwszy skusił go do loteryi i odwiódł go od szczęścia i pracy a złym przykładem w otchłań nędzy wtrącił... Krew zakipiała mu w żyłach, jakiś wściekły gniew go opętał, chciał się pomścić swego nieszczęścia i rzucił się jak wilk na Antoniego. Chwycił go za gardło i począł go dusić... Antoni ani już krzyknąć nie mógł, jeno padł na ziemię razem ze Stachem...

Zbiegli się ludzie a wnet przypędzili i policaje, oderwali z wielką biedą Stacha od Antoniego i zawlekli obu do aresztu. Ale tu pokazało się że Stach jest o strasznej słabości i gorączce i nic nie mówi, jeno ciągle woła:

— Ambo terno! ambo terno!

Oddali go zaraz do szpitalu, ale już go lekarze do przytomności przywołać nie mogli. Stach nic nie pamiętał o świecie, jeno chyrczał i ciągle o loteryi i o ambach i ternach mówił do siebie. W końcu ulitował się Pan Bóg jego męki — i Stach trzeciego dnia w nocy umarł... Tak to nędznie kończą ci, co nie szukają szczęścia w uczciwej pracy, jeno puszczają się na złe i lekkomyślne drogi! Niechaj żaś wszystkich Bóg strzeże od nałogu Stacha i od jego nędznej śmierci!...

A teraz cóż wam powiem jeszcze?... Chyba dodam, że wdowa po Stachu zmarła wkrótce w ubóstwie, sprzedawszy przed śmiercią resztę gruntu, którego biedaczka ani obrobić ani obsiać nie miała za co. A dzieci Stachowe poszły w świat, w poniewierkę, na gorzki chleb proszony obcych ludzi — jak zwyczajnie sieroty.

A ów Antoni, co to przez jakiś czas tak panował?... Zginął nędznie niedługo po śmierci Stacha. Zapił się pewnej zimowej nocy w szynku, a gdy go wyrzucili na dwór, położył się do rowu spać i zaspał też — na wieki! Zamarzł na okrutnem zimnie.

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Sprzęt siana.

Sprzęt siana rozpocząć się powinien wtenczas, gdy największa część trawy i ziół w najlepsze kwitnąć zaczyna. W miesiącu Czerwcu właściwie należy tę pracę rozpocząć na tych łąkach, które dwa, lub trzy razy dadzą się kosić; łąki zaś wydające tylko jeden pokos w Lipcu się dopiero koszą. Do sprzętu siana koniecznie potrzebna pogoda, dlatego należy się za nią oglądać. W tym roku mało trawy po łąkach, a to mało trudno było dobrze i sucho sprzątnąć, bo Czerwiec był przekropny. Stąd tem więcej pilności dołożyć trzeba, żeby z każdego promienia słonecznego umieć korzystać, gdyż od tej reguły odstąpić nie można, że tylko podczas suchej i pięknej pogody ciąć trawę należy. Dobrą trawę przy pięknej pogodzie trzeba zaraz po skoszeniu rozrzucić, mniej dobrą, to jest kwaśną i ostrą zostawić na pokosach dłużej. Rozrzucać należy równo, nie zostawiać szwatołów. Przerabiać ją, żeby zawiędła, a przed wieczorem tego samego dnia ułożyć ją w małe kupki. Kwaśną trawę na drugi dzień po oschnięciu rosy rozrzucić, przerabiać i przed wieczorem w kupki większe ułożyć, które można dłużej pozostawić, bo zagrzawszy się dobrze, polepszy się siano przez to znacznie.

Żadnych kupek nie można rozrzucać, jeżeli nie masz pięknej pogody, ale skoro choć na krótki czas wypogodzi się, trzeba kupki przestawić. Jeżeli zaś od początku koszenia służyła pogoda, to na drugi dzień, skoro rosa oschnie, kupki z dobrej trawy rozrzucić, w godzinach południowych przerobić i we większe kupki ułożyć, ale przed rosą. Nigdy nie dopuścić tego, żeby siano rozrzucone deszcz zaskoczył, albo rosa zmoczyła, dlatego trzeba mieć robotników tyle, żeby, gdyby deszcz miał zagrażać, zdążyli je w kupki zgrabić. Dobrze ususzone siano i do zwiezienia zdatne poznać można po tem, gdy przy skręceniu mocnem nie wydaje wilgoci. Jeżeli jest bardzo bystra pogoda i gorąco, natenczas siana tak mało, ile tylko można, przerabiać, lub przetrząsać, żeby go zbyt mocno nie

wysuszyć, boby się łamało i kruszyło, przez co wielka strata, gdyż swej naturalnej świeżości już nie nabierze. Siano będzie wtenczas bardzo dobre i trwałe, jeżeli pogoda posłuży i pare razy kupki na krótki czas rozrzuci się, potem we wielkie ułoży się i da mu dwa, lub trzy dni, udeptawszy je dobrze, wyparować. W ogóle zawsze jest dobrze, gdy siano w każdym przypadku przez kilka, lub kilkanaście dni zostanie we wielkich i udeptanych, oraz dobrze zaokrąglonych kupkach na świeżem powietrzu. Wielu zaś jest gospodarzy innego zdania, którzy spieszą się ze zwózką, nie przekonawszy się, czy siano dostatecznie wysuszone, mniemając, że pod dachem do reszty wyschnie. Lecz pospolicie dzieje się przeciwnie, bo pod dachem sparzy się, zatęchnie i spleśnieje tak, że bydło jeść go nie chce; a tak z dobrej i słodkiej trawy nie siano, lecz ściółkę gospodarz sobie przysposobił. Inni gospodarze są znowu tak nieoględni przy sprzęcie siana, że skoszoną trawę zostawiają na pokosach tak długo, dopóki nie uschnie, a jeżeli grube pokosy, to je za tydzień, lub dwa tygodnie dopiero przewrócą i zgrabią, na kupki ułożą, albo zaraz odwożą Takie obchodzenie się z sianem nie może gospodarstwa podnieść, gdyż tak zrobione siano, choćby i deszcze nie padały, utraca wszelkie pożywne części, albowiem słońce za pomocą rosy zupełnie je wybieli, a jeżeli deszcze panują, to je zgnoją do szczętu, więc i tu sprzątnął gospodarz zamiast siana barłóg na ściółkę. Oględny gospodarz nie popełni takich błędów. nie ociąga się ze sprzętem siana, nie odkłada go na ten czas, gdy inna robota nie da na siebie czekać, tylko rączo bierze się do pracy w odpowiednim czasie. Nie spuszczajcie się wieśniacy na własne siły przy sprzęcie siana, bo niestała pogoda zniszczy wam prędzej cały sprzęt, niżeli wy sami robocie podołacie. Tu nie można obejść się bez najemnika, jeżeli robota ma od ręki odchodzić, a gdyby który chciał koniecznie dla oszczędzenia wydatku własną pracą to wykonać, niechaj o tem pamięta, że taka oszczędność nie jest oszczędnością, lecz czystem marnotrawstwem.

Sz. N.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.